

MARIA „MARKA” RADLIŃSKA-SZOLC

MÓJ TATUŚ ZGINĄŁ W KATYNIU



Urodziłam się 22 września 1923 r. w Warszawie i właściwie całe moje życie jest związane z tym miastem. Przeżyłam w nim trudne czasy: wojnę, Powstanie Warszawskie, czas okupacji sowieckiej. Przed wojną pracował tylko tatuś, mama zajmowała się domem i naszym wychowaniem. Miałam trzy siostry. Najstarszą – Annę, nazywaną Nuną; spokojną, cierpliwą i wyrozumiałą wobec moich wybryków młodszą – Helenę Elżbietę, Elę oraz siostrę ciotecznią – Halinę Aleksandrowicz, która często u nas przebywała. Mnie nazywano Marką albo Maruną. Mieszkaliśmy przy ul. Niskiej.

Mój tatuś

Tatuś, Wiktor Radliński, urodził się 13 października w 1887 r. w Suwałkach. Był synem Władysława, podprokuratora Sądu Okręgowego, i Michaliny z d. Osipów. Gdy uczył się w państwowym gimnazjum męskim, w 1904 r. za organizację i uczestnictwo w uczniowskim strajku przeciw rosyjskim metodom wychowawczym dostał „wilczy bilet”. Po otwarciu szkół polskich podjął naukę w siedmioklasowej Szkole Handlowej w Suwałkach. Skończył ją i – aby się dalej kształcić – wyjechał do Petersburga. Wykształcenie techniczne zdobywał na kursach politechnicznych Wydziału Mechanicznego oraz na specjalnym kursie konstrukcji silników samochodowych i lotniczych. Praktykę zawodową odbył w fabryce Koerling i w warsztatach Wszechrosyjskiego Carskiego Aeroklubu.

W sierpniu 1918 r. powrócił z Petersburga i zgłosił się w Warszawie do Sekcji Automobilowej [czyli do Wojsk Samochodowych – red.] z propozycją stworzenia zbioru niezbędnej literatury fachowej. Początkowo pracował na stanowisku referenta wydawnictw, a następnie kolejno: jako referent wydziału technicznego, kierownik referatu naukowo-szkolnego i referent naukowo-techniczny Wydziału Wojsk Samochodowych Departamentu VI. Od 1 grudnia 1920 r. z urzędnika wojskowego został przemianowany na oficera zawodowego w stopniu kapitana. W latach 1921–1924 służył w Wydziale Wojsk Samochodowych w Departamencie Technicznym. Przez następne trzy lata odbywał praktykę w fabryce Berliet w Lyonie. Po powrocie z Francji został przeniesiony do Centralnej Komisji Odbiorczej Wojsk Samochodowych Ministerstwa Spraw Wojskowych, a następnie do Wojskowego Instytutu Badań Inżynieryjnych. W 1933 r. przeszedł w stan spoczynku. Od tego czasu do 1939 r. pracował w Biurze Badań Techniki Broni Pancernej przy ul. Nowowiejskiej. Opracowywał podręczniki samochodowe, techniczno-instrukcyjne, rozpowszechniane również poza wojskiem. Brał też udział w organizowaniu pionu naukowego Szkoły Podchorążych Wojsk Samochodowych. Jego szczegółowy biogram wydrukowano w 1990 r. w Epitafium Katyńskim w Wojskowym Przeglądzie Historycznym.

Ucieczka przed rewolucją

Moi dziadkowie ze strony ojca mieli dziewięcioro dzieci, dwoje z nich umarło. Po śmierci dziadka babcia żyła z prowadzenia stacji dla dziewcząt. Tam poznali się moi rodzice, bo moja mama Helena, która pochodziła z Mariampola, była u babci na stacji. Ojciec mamy był

sędzią. Mama wyjechała z tatusem do Petersburga, tam była dla Polaków szansa kształcenia się. Zawiązała się akademicka grupa Polaków, która trzymała się razem. Tatusz ze względu na swój „wilczy bilet” nie mógł iść na wyższe studia. Mama skończyła na uniwersytecie w Petersburgu romanistykę. Tam zastała ich rewolucja bolszewicka. Wiem, że musieli się ukrywać z innymi Polakami w piwnicy, gdzie była tylko stara kwaszona kapusta i buraki. Tata później do końca życia miał do tego wstręt i nie mógł patrzeć ani na kwaszoną kapustę, ani na buraki. Z Petersburga uciekli do Warszawy. Czekał na nich brat mojej mamy, który przywitał ich miską świeżo ugotowanych kartofli. Rodzice często to wspominali, że tak wspaniałego poczęstunku nie mieli od dawna. Komunizm im nie odpowiadał, bo byli Polakami, katolikami. Obcy im był ateistyczny system.

Szkoła

Mama była nauczycielką francuskiego. Kształciła się jeszcze we Francji i Szwajcarii, skąd przywiozła stosowny certyfikat. W moim domu zawsze mało się mówiło o przeszłości. Wychowywałam się w takiej atmosferze, że polskość zawsze była związana z honorem i godnością. Nie wolno było szargać imienia Polski ani sztandaru, przed którym stało się na baczność. Tatusz uczył mnie, że to, jaka jestem, zależy tylko ode mnie i muszę tak postępować, aby nikogo nie krzywdzić. Wpoił w nas społeczną wrażliwość, szacunek dla innych i umiejętność dzielenia się. Szykowaliśmy więc paczki dla biednych dzieci, nosiliśmy śniadania dla uboższych rówieśników w szkole. W klasach były koszyczki dla tzw. biednych dzieci. Było to bardzo dyskretnie organizowane przez radę rodziców. Zdarzały się dzieci z rodzin bezrobotnych czy wielodzietnych, które potrzebowały opieki i pomocy. Nikogo nie wytykano palcami. Dzieci dostawały kubek mleka i kanapkę na talerzyku. Do szkoły zaczęłam chodzić od IV klasy powszechnej. Wcześniej mama uczyła mnie w domu, a starszą siostrę odwoziła do Szkoły Rodziny Wojskowej.

Również i ja chodziłam do Szkoły Rodziny Wojskowej, bo tatusz był wojskowym. W IV klasie, gdy mieliśmy po dziewięć – dziesięć lat, organizowano nam spotkania z weteranami Powstania Styczniowego. Opowiadali oni o tym, jak walczyli, jak byli młodymi łącznikami, którzy musieli przekazać meldunek. Śpiewaliśmy z nimi piosenki wojskowe, zrobiliśmy też inscenizację, w której grałam rannego żołnierza. Rozwijano u nas kult marszałka Józefa Piłsudskiego.

Nasza szkoła mieściła się w Al. Ujazdowskich 3/5. Było to prywatne wielkie mieszkanie z olbrzymimi pokojami. W jednym była klasa A, a w drugim klasa B. Chodził do naszej klasy Tadek Kasprzycki, syn gen. Tadeusza Kasprzyckiego. Do Szkoły Rodziny Wojskowej (ale nie mojej) uczęszczał ks. Witold Niciecki, marianin, którego ojciec również zginął w Katyniu. Miałam dobrych, sprawiedliwych nauczycieli. Potrafiłam się trochę bić z chłopakami, zdarzyło się, że nawet wyleciałam z klasy za uderzenie w głowę piórnikiem z laki kolegi Sygietyńskiego, który wepchnął się na moją połowę ławki. Kiedyś Piotr Stachiewicz (późniejszy autor książek *Parasol* i *Starówka 1944*), wychodząc z klasy, stanął na rękach. Uderzył mnie przy tym nogą w brodę. Straszny ból, fontanna krwi i rozcięty język. Wszyscy byli przerażeni. Zszyto mi język w Szpitalu Ujazdowskim. Cieszyłam się, bo nie musiałam odpowiadać na lekcjach. Tatusz uczył mnie, aby nie krzyczeć, choć boli. Nie płakać, bo to nic nie da. Starłam się to ćwiczyć, opanowywać. Byłam dosyć żywym dzieckiem i przychodziły mi najdziwniejsze pomysły do głowy. Od najmłodszych lat jednak słyszałam słowa „opanuj się”, bo nie byłam spokojnym aniołem. Tatusz zabierał mnie na rajdy automobilowe. Byłam zachwycona, choć bardzo denerwowałam się i bałam, żeby nie było jakiegoś wypadku.

Cukierki od Marszałka

Čzęsto po szkole spotykałam marszałka Piłsudskiego, który mieszkał w Belwederze. Chodził w płaszczu, z rękami w kieszeniach. W jednej kieszeni miał orzeszki, a w drugiej cukierki. Gdy mijałam go, musiałam dygnąć i uklonić się. Wiedział, kim jestem. Witałam go słowami „Dzień dobry, panie Komendancie”. On stawał na chwilę i pytał, jak tam w szkole, ja odpowiadałam, że dobrze. Marszałek częstował mnie czasem cukierkiem, a ja kłaniałam się i szłam dalej. Marszałek karmił orzeszkami wiewiórki, które przybiegały z parku Łazienkowskiego. Jakieś 50–100 m za Marszałkiem szedł z jego aktówką adiutant. Potem Marszałek wchodził do Ministerstwa Spraw Wojskowych, nad którym był napis: Bóg, Honor i Ojczyzna.

Szkoła u Marszałkowej

Pani Marszałkowa sprawowała opiekę nad naszą szkołą. Pani Szalejowa, jej siostra, była inspektorką szkoły. Szkoła miała wysoki poziom, nie zdarzało się, żeby ktoś nie dostał się do gimnazjum. Moją ulubioną nauczycielką była nasza wychowawczyni – Irena Święcka, polonistka. W Belwederze jedliśmy śniadanie po naszej Pierwszej Komunii Świętej. Gościła nas pani Marszałkowa. Do Pierwszej Komunii Świętej przygotowywał mnie prefekt, ks. hm. Jan Mauersberger i pani Niepokulczycka, katechetka. Dzień Pierwszej Komunii Świętej, którą przyjmowałyśmy w kaplicy pałacu w Łazienkach, był bardzo uroczysty i dokładnie go zapamiętałam.

Śmierć Marszałka

U nas w domu wiedziało się, że Marszałek jest poważnie chory, bo ciocia pracowała w aptece w Szpitalu Ujazdowskim i robiła dla Marszałka lekarstwa. Na wiadomość o jego śmierci przerwano lekcje i nauczycielka zarządziła ciszę szkolną. Poszliśmy do Belwederu w ciszy złożyć hołd marszałkowi Piłsudskiemu. Chłopcy szli grzecznie i nie ciągnęli nas za włosy. Trochę bałyśmy się tego katafalku. Pamiętam, że stali żołnierze „na baczność”, a w sali było duszno i było dużo kwiatów. Trzeba było uklęknąć, przeżegnać się i szybko przejść do wyjścia. Potem wróciliśmy do klasy.

Silna wola

Mieszkaliśmy już na ul. Szarej 14 m. 25, na V piętrze. Po skończeniu IV oddziału szkoły powszechnej rozpoczęłam naukę w Gimnazjum im. Słowackiego. W klasie było nas około czterdziestu osób. Zapisalam się do 3. Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej. Dzieliła się ona na trzy drużyny – czerwoną, czarną i złotą. Było nam wspaniale, miałam bardzo dobrą zastępową Helenę „Lenę” Konczewską, po mężu – Jeagerman. Skończyła psychologię. Uczyła nas silnej woli przez ćwiczenia, np.: jeżeli chcesz usiąść – to postój sobie; jeżeli chcesz śpiewać – to pomilcz; jeżeli czytasz książkę – przerwij czytanie w najciekawszym miejscu i przeczytaj za pół godziny; zaczynaj odrabianie lekcji zawsze od najbardziej nielubianego przedmiotu. Sama sobie też wyznaczałam zadania: nie krzycz, nie bazgraj w zeszytach, bo to niegrzeczne względem nauczyciela, który musi to czytać. Tatusz mówił mi, że jestem córką polskiego oficera i nie wolno mi różnych rzeczy, np. mówienia brzydkich wyrazów, których nie znam do dziś, a najgorszy mój wyraz to „cholera”. Trzeba było też odpowiednio jeść, z kulturą i zjeść wszystko, co podadzą, nie zostawiać na talerzu, babcie w rękę pocałować, choć nie znosiłam tego. Uczyłam się też gry na fortepianie.

„Mam szczerą wolę służyć Bogu i Polsce...”

Harcerstwo traktowane było przez nas bardzo poważnie. Pamiętam, jak w majątku jednej z koleżanek, Irki Królikowskiej, spałyśmy w stodole na sianie. Miałyśmy bieg harcerski

na drugi stopień, był nocny alarm, zbiórka... Tamtej nocy składałam przyrzeczenie harcerskie. Drużynowa, trzymając nad ogniskiem w dłoni krzyż harcerski, mówiła: „Chociaż wobec spokojnego ognia złożysz przyrzeczenie”. Słowa przyrzeczenia, zupełna cisza i tylko bicie serca... I po tym gruchnęła pieśń *Pod lilii znakiem*. Tego się nie zapomina. Ideały harcerskie były jednoznaczne, nie budziły żadnych moich wątpliwości – ojczyzna to Polska, zachowuj się przyzwoicie, ucz się jak najlepiej. Chociaż ja nie byłam piątkową uczennicą, dwójki też miewałam. Do dziś czuję się harcerką, bo przyrzeczenie Bogu i Polsce wciąż jest aktualne w moim życiu. Prawo Harcerskie wypływa z Prawa Bożego, poparte wiarą było najwyższym autorytetem. Jestem odpowiedzialna za swoje postępowanie i postawę wobec ludzi.

Wakacje 1939 r.

Byliśmy wtedy razem nad Niemnem w Szypliszkach, tuż przy samej polsko-rosyjskiej granicy. Tatusz robił masę zdjęć. Żadne z tych zdjęć się nie zachowało, bo wszystkie spłonęły w Powstaniu Warszawskim. Te, które są, przechowała cudem ciocia. Naszą wspólną wakacyjną wyprawą była wycieczka 15 sierpnia do Wilna, do Ostrej Bramy. Tatusz dowiedział się, że musi wracać do wojska i wracał, jak stał, w turystycznym ubraniu wprost z Wilna. Musiałam zebrać szklane klisze, które były bardzo ciężkie. Zaczęła się już ogólna mobilizacja i było wielkie zamieszanie, ale jakoś dotarliśmy do Warszawy. Pop, u którego mieszkaliśmy, bardzo chciał, żebyśmy dla naszego bezpieczeństwa jak najszybciej wracały do domu. Z wielkim trudem zdobył nam furmankę do stacji kolejowej. Na pożegnanie dostałyśmy trzy litry wspaniałego miodu leśnego.

Wojna

Jak leciały samoloty nad Warszawę 1 września, patrzyliśmy na nie całą rodziną. Spadały z nich bomby na Śródmieście. Staliśmy tacy skamieniały. Tatusz powiedział, że to jest już wojna. Nikt nie płakał, bo u nas się nie płakało.

Najpierw kopałam rowy na Czerniakowskiej, a później zgłosiłam się w „Domu Harcerskim” na Myśliwieckiej. Po rozmowie ze starszymi harcerkami pomagałam w Centrali Telefonicznej na Nowogrodzkiej, byłam w tym przeszkolona. Nadałam ostatni komunikat nad ranem do Mińska Mazowieckiego, że zarządzam alarm lotniczy. Potem musiałyśmy zdjąć wszystkie dystynkcje harcerskie, schować legitymacje i w podziemiach niszczyłyśmy wojskowe dokumenty. Było słyhać, jak przybliża się front. W nocy z 8 na 9 września zwolniono mnie ze służby. Trwała ewakuacja.

Tatusia widziałam ostatni raz 6 września. Nocował w domu, mama mu przygotowała ekwipunek, był w połowym mundurze, bez emblematów służby broni pancernej, miał epolety pomarańczowe jako emblemat służby pancernej, długie buty, sztylpy. Powiedział, że wróci, choć ja z mamą czułyśmy, że nie wróci. Młodsza siostra popłakiwała. Tatusz dał nam jeszcze instrukcję: „Pamiętajcie, nie wolno wam opuścić miasta. Tu jest szansa przetrwania”. I to była prawda, bo ludzie uciekali w panice na wschód i zdarzało się, że ginęli. My zostałyśmy. Wiedziałyśmy też, że zaatakowali nas czerwoni bolszewicy, i że ich nawała się rozprzestrzenia. To było przekazywane metodą „JPP” – czyli jedna pani powiedziała – w zaufaniu, na ucho.

List z Kozielska

W połowie grudnia przyszedł lakoniczny list z Kozielska: „Jestem internowany w obozie w Kozielsku. Proszę o paczkę i następujące rzeczy: ciepłą bieliznę, dwie pary desusów (czyli kalessony), ciepłe skarpety, dwa pudełka papierosów Rarytas, mydło, pędzel i miseczka do golenia. W obozie spotkałem Zbyszka. Odpowiadajcie według podanego adresu. Całuję was mocno. Opie-

kujcie się sobą nawzajem”. Mama czytała list chyba ze sto razy, doszukując się ukrytych treści, ale nic nie znalazła. Odwiedzali nas też „zwykli żołnierze”, którzy z tatusiem służyli i mówili, że kazał mamę i nas bardzo pozdrowić. Mówili też, że był w złej formie psychicznej. Miał przecież powody być zgnębiony, bo wiedział, co to niewola u Moskali. Przypomina mi się też taka sytuacja, jak tatuś wrócił przed wojną z Berlina zupełnie zdruzgotany. Jako fachowiec widział tamtejszą broń pancerną. Miał świadomość, jaka jest olbrzymia różnica w uzbrojeniu między Niemcami a nami.

Niemcy w Warszawie

Straszne było bombardowanie Warszawy 26 września. Potem nastąpiło zawieszenie broni. Podczas nalotów siedzieliśmy w piwnicy z innymi sąsiadami i modliliśmy się. To były modlitwy pełne zaufania do Boga. Niemcy wkroczyli i urządzili defiladę AI. Ujazdowskimi. Mama ją widziała, nam nie pozwoliła iść. W nasz dom na Szarej 14 trafiły trzy bomby, więc siedzieliśmy u sąsiadów. Potem przeprowadziłyśmy się pod świstem kul do wujka Lalewicza na Górnośląską. To była kolonia profesorska, małe domki. Jak wybuchła bomba półtonówka, to zniosła z powierzchni ziemi cały jeden sąsiedni domek, nasz się zatrzęsł i stracił wszystkie szyby. Wojna mocno przetrzebiła męską część mojej rodziny.

Potem wróciłyśmy na Szarą i mieszkaliśmy w zrujnowanym domu. Naprzeciw nas mieszkała rodzina Salzbergów. Pan Salzberg był Żydem, sędzią. Ona nie była Żydówką. Jej mąż poszedł do getta, a ona ukrywała Żydów, ciągle ktoś u niej był. Z moją mamą wzajemnie ostrzegały się przed Niemcami. Gdy wybuchło Powstanie, wyszło od niej z domu około dwudziestu osób. Po wojnie spotkałam ją w tramwaju, ufarbowaną na jasny blond, o nazwisku Kowalska. Jej mąż nie przeżył.

Konspiratorka Ela

Moja młodsza siostra należała w konspiracji do Szarych Szeregów w czarnej Trójce, nie pytałam o więcej, ona też nic nie mówiła, abyśmy się nie zdradziły. Ulicami Warszawy chodziły niemieckie patrole. Ona biegła którejś soboty na lekcję francuskiego, była na rogu ul. Książęcej i Rozbrat. Niemcy ją zatrzymali. Miała ciężką torbę, bo oprócz podręczników miała tam parabellum. Miała też „Biuletyn Informacyjny”. Ona się wyklócała z Niemcami, miała kenkartę. Myślała, że to już koniec, więc trzepnęła Niemca po pysku i zaczęła uciekać. On postrzelił ją w kolano. Zaczęła tam strasznie histeryzować, bo bała się, że zrobią rewizję w naszym domu i chciała odwrócić ich uwagę. Miałyśmy wypchany dom prasą konspiracyjną, nie licząc strychu. U nas na Szarej była w mieszkaniu drukarnia i siostra nocami drukowała. Z niej, można powiedzieć, był „niezły numer”, choć miała piętnaście lat. Drukowanie odbywało się w kuchni, a powielacz nie był taki cichy. Mama drżała ze strachu, ale nie oponowała. Mówiła tylko, żeby Ela uważała. Siedzieliśmy na wulkanie. Jak były u nas w domu tajne komplety, to mama wtedy zawsze trzepała sukna, aby widzieć, czy Niemcy weszli do naszego domu. Książki chowałyśmy do rozkładanego stołu. Zagrożenie było realne, bo na Czerniakowie było dużo folksdojczów. Połowa naszego domu była zajęta przez Niemców. Była to dzielnica niemiecka.

Niemcy zawieźli Elę do szpitala Jana Bożego. Ona chciała nas ostrzec, że jest spalona. Pracowałam w aptece, gdzie był telefon i jedna z pielęgniarek zadzwoniła i ostrzegła, abym nie wracała do domu. Siostrę potem wywieziono na Pawiak. Potem trafiła do Ravensbrück.

Zacieranie śladów

W czasie wojny nie należałam ani do harcerstwa, ani do AK. Byłam osobą „czystą”. Dużo pracowałam i uczyłam się. Musiałam też wszystko w domu zrobić, bo mama często była

chora, a siostra w konspiracyjnym transie. Przez pierwsze trzy miesiące prowadziłam zastęp harcerek, ale dziewczyny, a miałyśmy wtedy po siedemnaście lat, szybko zaangażowały się w konspirację i poważniejsze zadania. To kolidowało z harcerskimi zabawami, grami. Tata mi nakazał, co mam w domu niszczyć, aby nie trafiło do rąk Niemców. Podziemie szybko i dobrze działało, u nas bywali oficerowie WP, którzy wynosili potrzebne im tatusia rzeczy, m.in. telefunkę, roczniki „Broni Pancernej”. Tego było dosyć dużo. Część spaliłam. Tajne komplety robiłam z mechaniki, na Politechnice. To działało pod przykrywką kursów rysunku technicznego Leśniewskiego. Zaliczyłam pierwszy rok i kilka przedmiotów z drugiego.

Powstanie

W czasie Powstania mój przyszły mąż walczył w „Parasolu”. Miał ps. „Słowacki”. Spotkałam go raz w moje imieniny, 8 września, kiedy wraz z oddziałem przeszedł kanałami ze Śródmieścia. Szli ulicą Okrąg. Poznałam go, chociaż szedł w niemieckim mundurze. Zawołałam. Odwrócił się. Później jeszcze kiedyś zjadł u nas makaron z dżemem. Ja zajmowałam się ludnością cywilną w naszym bloku. Pomagałam chorym. U nas w domu były walki, nosiłam rannych żołnierzy w kocach. Jednym z żołnierzy był Janek Bagiński, którego znałam z kompletów.

Po Powstaniu trafiłyśmy z mamą do obozu w Pruszkowie. Pomógł mi Jurek Rdzanek i Danka Leśniewska, po mężu Sławińska, która była sanitariuszką w Pruszkowie przy niemieckiej komisji lekarskiej. Ona uratowała tam przed wyjazdem na przymusowe roboty do Reichu mnóstwo cywilów, akowców, i opisała to w książce *Kiedy kłamstwo było cnotą*. Dojechałyśmy z mamą pociągiem do wsi Kłomnice niedaleko Radomska. Tam spotkałam lekarza, który mieszkał na Szarej 1, i razem z jego rodziną poszłyśmy do księdza na plebanię. Innych porozwożono furmankami po sąsiednich wsiach. Ksiądz był nam życzliwy. Dał nam pysznej maślanki. Spałam tam w czystej pościeli, ale nie mogłam zasnąć, bo wokół była cisza. Nie było huku bomb, strzałów czołgów, tylko cisza.

Pogrzeb, który zmienił się w manifestację

Po wojnie dowiedziałam się, że zaczyna działać Politechnika w Łodzi. Pojechałam tam i zostałam przyjęta. Zaliczono mi moje studiowanie na kompletach. Wykłady odbywały się w hali fabryki włókienniczej, wśród maszyn. Tam było dużo warszawiaków, również moich znajomych, żołnierzy AK.

W 1946 r. w łódzkim parku sowiecki żołnierz zgwałcił i zabił studentkę medycyny. To było na jesieni. Naszym kapłanem był ojciec Tomasz Rostworowski, jezuita i charyzmatyczny duszpasterz akademicki. Studenci najprawdopodobniej wykradli czy wykupili ciało dziewczyny z sądowego prosektorium i przenieśli do kościoła akademickiego przy ul. Sienkiewicza 40. Było całonocne czuwanie, aby milicjanci nie ukradli ciała. Później, po uroczystej Mszy pogrzebowej, studenci na ramionach nieśli trumnę przez całe miasto na cmentarz. Szliśmy w około pięciusetosobowej grupie ul. Roosevelta i Piotrkowską. Bez krzyków, pieśni, w ciszy całą szerokością ulicy. Motorniczy nam pomogli przejść i zatrzymali tramwaje. Tak grupa doszła na cmentarz, gdzie pochowano zabita dziewczynę. Nie znałam jej imienia ani nazwiska.

Skończyłam studia, obroniłam dyplom na stopień celujący. Z trudem zdałam jednak ostatni egzamin z marksizmu. Egzaminował mnie pan Kot, nazywany Kocurem. Ten egzamin to była męczarnia, bo ja na pytanie, czy znam Marksa, mówiłam, że nie znam go osobiście. Maglował mnie ostro, ale dał mi w końcu trzy z minusem. Pracowałam już wtedy w Instytucie Metalurgii w Gliwicach. Potem z nakazu pracy podjęłam ją w Warszawie w Instytucie

Metaloznawstwa i Obróbki Ciepłej przy ul. Duchnickiej 3. Ze względu na zmianę profilu Instytutu na wojskowy złożyłam wypowiedzenie. Po przerwie podjęłam pracę w Instytucie Lotnictwa na Okęciu, krótko pracowałam też na Politechnice Warszawskiej.

Wiadomość o śmierci taty

Zbyszek, o którym pisał tata w liście, miał na nazwisko Kwiczała, był siostrzeńcem tatusia, urodził się w Saratowie, w Rosji. Spotkali się w Kozielsku. Był młodszym stopniem instruktorem pilotażu spod Lwowa. Pierwszą drukowaną wiadomość dotyczącą Katynia pamiętam z 1943 r., gdy Niemcy odkryli masowe groby. Oni drukowali listy ofiar, ale niepełne. Nie było na nich tatusia. Wydawał to przychylny Niemcom szmatławiec „Nowy Kurier Warszawski”. Niemcy napisali, że to była zbrodnia bolszewicka. My już wiedziałyśmy z mamą, że to sowiecka robota. Mama szukała tatusia przez Czerwony Krzyż, ale nic nie było wiadomo. Nadszedł wreszcie list z Griażowca od Zbyszka Kwiczały do jego narzeczonej Krystyny, do Lwowa. Ona przepisała go i wysłała nam do Warszawy. Tam była informacja, aby nami opiekowała się rodzina. My intuicyjnie z mamą czułyśmy, że tatuś nie żyje. Tatuś przysnił mi się, widziałam szereg ludzi w szynelach, zmarniałych idących przez las. Pochyleni, jakby każdy dźwigał coś niewidzialnego. Oni podeszli do drogi, którą był olbrzymi rów. Część ludzi leżała tam twarzą do ziemi. Obudziłam się wtedy i pomyślałam, że chyba tatuś zginął. To się potwierdziło, gdy zobaczyłam po wojnie w latach pięćdziesiątych zdjęcie we francuskim czasopiśmie „Magazyn Filozoficzny”, który drukował różne felietony, m.in. z chemii. Pismo pożyczyła mi pani, która pracowała z tatusiem i była bibliotekarką. Ona mi to przyniosła i mówi, że prosi, abym przeczytała. Zaczęłam jej tłumaczyć, że ja nie jestem chemikiem, ona jednak nalegała. Wzięłam to od niej do domu i zaczęłam kartkować i zobaczyłam, że tam jest o Katyniu. Tam był krótki artykuł „Odkryte groby” i fotografia prawie taka, jak to, co mi się przysniło, jakaś droga, szeroki rów i leżące ciała. Na drugi dzień oddałam jej, aby nie było żadnego śladu. Ten artykuł to była dla mnie wstrząsająca wiadomość.

Zbyszek, który ocalał, trafił razem z ks. Peszkowskim do Pawliszczew Boru. Stamtąd do Armii gen. Andersa. Nie zaproponowano mu jednak żadnego pilotażu. Nie wiem, dlaczego ocalał, może dlatego, że urodził się w Rosji. Spotkał się ze mną w Szwecji, do której trafiłam na operację kręgosłupa. Bardzo mało mówił, ja też. Mama nie chciała z nim utrzymywać kontaktu. On wrócił do Polski, nie mógł znaleźć pracy, ożenił się z pielęgniarką. Miał przychylny stosunek do systemu komunistycznego. W Szwecji do moich rąk trafiły książki o Katyniu i Monte Cassino. Za nie można było iść siedzieć, ale przywiozłam je do Polski. Moja mama robiła oficjalne dochodzenie i 9 maja 1946 r. sąd orzekł, że tatuś nie żyje.

Spotkanie z ks. Peszkowskim

Mama nasłuchiwała ciągle, czy ktoś z Kozielska nie wrócił. Dowiedziałam się „po linii” harcerek, że jest ktoś taki, jak ks. Peszkowski, który był w Kozielsku, i on czasem przyjeżdża do Polski. To było w latach sześćdziesiątych. Umówiłam się z nim na spotkanie w Episkopacie. On miał obywatelstwo amerykańskie i przyjechał z grupą amerykańskich studentów. Bałam się strasznie, że to może być ktoś podstawiony. Gdy jednak popatrzyliśmy sobie głęboko w oczy, stwierdziłam, że mogę go zapytać. Pytałam, czy byli w obozie księży, czy mogli udzielić absencji żołnierzom w czasie zagrożenia życia, tak jak kapelani powstańcom. Chodziło mi o to, czy tatuś mógł się wypowiadać, przyjmując komunię, praktykować wiarę katolicką. On potwierdził, że kto chciał, mógł się dyskretnie wypowiadać. Przyjęłam to z wielką ulgą.

W Rodzinie Katyńskiej

Potem zapisałam się też do Rodziny Katyńskiej, której przewodził ks. Niedzielak, proboszcz kościoła pw. Karola Boromeusza na Powązkach. Uczestniczyliśmy wspólnie w pogrzebach i uroczystościach. Potem SB go zamordowała.

Trudno było żyć, gdy nie istniała żadna oficjalna informacja o tym, jak i gdzie zginął tatuś. W czasach PRL nie można było zrobić mu nawet żadnego symbolicznego pomnika. Można było napisać tylko, że zginął w obozie koncentracyjnym. Osoby z Rodziny Katyńskiej bardzo mi pomagały w zbieraniu dokumentów na jego temat. W kościele Karola Boromeusza jest mała tabliczka, którą zrobiłam dla tatusia. Tam też odbierałam w jego imieniu londyński wrześnieowy krzyż 1939 r. Mama po wojnie ofiarowała order tatusia na Jasnej Górze.

Z dużym trudem przebaczyłam wykonawcom wyroku Stalina, którzy zabili tatusia. Mogłam przebaczyć tylko dzięki wielkiemu Miłosierdziu Bożemu.

Wysłuchał i opracował Jarosław Wróblewski

